

ze swą zgraną, wybornie trupą do większych miast Słowiańszczyzny, zaczynając od Cieszyna i Pragi. Na drogę tę przesyłamy dyrektorowi Rygerowi serdeczne „Szczęść Boże!“



Kronika tygodniowa.

(Zwierciadło moralności pruskiej. — Orgie homoseksualne. —
»Książę Fili«. — Dobry początek. — Gawrony a wiosna. —
Katastrofa z dyszlem.)

Gdyby nie głęboka wiara, zwątpiłbym o mądrości, a zwłaszcza sprawiedliwości Boga na widok Prusactwa. Ale wiem, że Bóg dał ludziom i ludom wolną wolę, dla jednania sobie zasług i uznania, albo ściągania na siebie przekleństw i potępienia. A Prusacy pracują od początku swego istnienia z przedziwnym uporem, no i... powodzeniem, ażeby nad głowami swymi zgromadzić orkan potępienia. Prusacy — to naród prawdziwie specjalny. Są Niemcami? Ano — mówią po niemiecku, ale zresztą mają swe odrębne dzieje i zupełnie odrębną psychologię. Zwłaszcza psychologię. Posiadają wszystkie wady zwierząt drapieżnych, ani jednej zaś ich zalety. Mają złośliwość padalca, chytrą lisa, krwiożerczość tygrysa, nienasycone łakomstwo węży, dusiciela, podłe tchórzostwo hyeny wobec mocniejszych i jeszcze podlejszą odwagę jej wobec słabszych. Nie znają dumy lwa, ani ślepej furii tygrysa, ani naiwnej odwagi niedźwiedzia. A jak pewien rodzaj robactwa pełni się najsilniej pośród niechlujstwa fizycznego, tak Prusacy rosną w potęgę pośród niechlujstwa etycznego. I dlatego zupełnie trafnie owo robactwo nazywamy „prusakami“.

Dzięki też niechlujstwu etycznemu Europy Prusacy od roku 1870 stali się „wielkim“ narodem. I znowu nie posiadają ani jednej zalety wielkiego, choćby tylko fizycznie narodu, przyswoili sobie natomiast wszystkie jego wstrętne wady, świadczące o upadku i zwyrodnieniu. Urosli i zwyrodniali równocześnie. Ani na chwilę nie mieli czystej wielkości. O zwyrodnieniu Prusaków możnaby i trzeba było pisać obszernie rozprawy. Nie tutaj miejsce na obszernie traktaty, wspomniemy więc tylko o konkretnym fakcie z ostatnich czasów, o rewelacjach, które ogłosił Maksymilian Harden w swoim czasopiśmie „Zukunft“.

Zdawałoby się, że rewelacje owe są wymysłem „Simplicissimusa“, wybornego pisma humorystycznego, tak niemilosierdzie chłoszczącego Prusaków i stolicę ich Berlin. Ale Harden, opowiadając rzeczy nieprawdopodobne, mówił jednak prawdę, z wyjątkiem podrzędnych szczegółów. Mówił skandaliczną prawdę — mimo olbrzymiej skandaliczności jeszcze niezupełną. Cuchnące szczegóły z tysiąca i jednej nocy pruskiej. Posłuchajcie:

Był sobie i żyje dotąd jeszcze ks. Filip Eulenburg, który niegdyś był hrabią, a za nieznane ogłowi zasługi otrzymał od cesarza Wilhelma tytuł księcia. Otóż ów książę Filip Eulenburg, zwany poufale „Fili“, przez dłuższy czas ambasador niemiecki w Wiedniu, człowiek, który obalał i mianował kanclerzy, przyjaciel cesarza niemieckiego, urządził na zamku swoim przy stole biesiadnym ucztę wspaniałą, podczas których mówiono o Wilhelmie, nazywając go „Liebchen“, a po których oddawano się uciechom homoseksualnym. Dojrzały, a nawet starsi już mężczyźni, zajmujący w państwie odpowiedzialne i wybitne stanowiska, urządzali nawzajem na swoich osobach nadużycia płciowe, o ile zaś nie starczyły im własne osoby, kompletowali orgie mężczyznami z ludu, zwłaszcza szeregowcami z gwardyjskich pułków konnicy.

Oto główna treść rewelacji Hardena. Mówiono o nich głośno w całych Niemczech i zagranicą, milczały tylko dyskretnie skompromitowane osoby. Sprawę przedstawił wreszcie cesarzowi Wilhelmowi następca tronu i wtedy generał, hr. Kuno Moltke, należący do grona skompromitowanych osób, wytoczył pod „wysokim“ naciskiem proces karny Hardenowi. Rozpoczęło się fatalne pranie brudów. Schorowany ks. Filip Eulenburg, zrujnowany moralnie i fizycznie, stanął pod pręgierzem, podobnie jak hr. Kuno Moltke, rotmistrz kirasyerów gwardyjskich, hr. Lynar, drugi rotmistrz, hr. Hohenau, obok szeregu świadków. Zeznawali kirasyerzy gwardyi, odkrywając orgie homoseksualne hrabiowskich przełożonych. Okazało się przy tej sposobności, że już poprzednio władza wojskowa zabroniła kirasyerom gwardyjskim w Potsdamie pod Berlinem wychodzić na spacer w białych, obcisłych pantalonach, gdyż w ten sposób uwodzili oficerów.

A więc homoseksualne wybryki pod okiem władzy mogły „kwitnąć“ bezkarnie. Harden został uwolniony — hr. Moltke pogrążony. Było to w listopadzie u. r.

Nagle w styczniu bieżącego roku prokuratoryja państwa z urzędu wytoczyła Hardenowi ponowny proces o obrazę hr. Moltkego, któremu groziło sromotne wykluczenie z armii. Zaczęło się powtórne pranie brudów. Moltke przy pomocy nowych świadków oczyścił się do pewnego stopnia. Przy tej sposobności ks. Filip Eulenburg zeznał pod przysięgą, że nie tylko hr. Moltke nie miał zwyrodniałych popędów płciowych, ale że także on sam, to jest „ks. Fili“, nigdy nie uprawiał homoseksualizmu, to jest stosunków z mężczyznami. Tym razem Harden przegrał, a hr. Moltke został zrehabilitowany, przynajmniej formalnie. Sąd skazał Hardena na 4 miesiące więzienia. Ale rycerscy rotmistrzowie gwardyi, hr. Lynar i Hohenau zostali wypędzeni z armii.

Upłynęły prawie trzy miesiące, gdy niespodziewanie w Monachium na tle tej sprawy rozegrał się nowy proces. Mianowicie w jednym z dzienników monachijskich pojawił się artykuł, zarzucający Hardenowi, że nie wyzyskał całego materiału przeciwko ks. Eulenburgowi i że nic dziwnego, jeżeli z tego powodu obiega pogłoska, jakoby Harden wziął zato od ks. Eulenburga milion marek. Harden wytoczył Staedelemu, redaktorowi owego dziennika, proces o obrazę i powołał do rozprawy licznych świadków. Proces rozgrywał się pomiędzy Hardenem, a redaktorem Staedele, ale pod pręgierzem stanął znowu „ks. Fili“. Świadkowie zeznali pod przysięgą, że „ks. Fili“ urządził sobie z nimi i na ich osobach przeróżne nadużycia płciowe. A skoro tak — to ks. Eulenburg złożył poprzednio fałszywą przysięgę, gdy zapewniał, że nigdy podobnych nadużyć płciowych nie dopuszczał się.

Dzięki odmiennej procedurze karnej w Bawarii możliwym był taki wynik procesu, który w Prusach byłby inaczej wypadł. Staedele został skazany tylko na 100 marek grzywny, ale mimo to zgłosił rekurs. Podobno proces ów został naumyślnie wywołany przez Hardena i Staedelego, ażeby nareszcie gruntownie zdemaskować ks. Filipa. Dlatego też mimo tak łagodnego wyroku Staedele zgłosił rekurs, ażeby umożliwić ponowny proces i dalsze napiętnowanie „ks. Fili“, tudzież jego przyjaciół, no i... kochanków.

Oto zwierciadło moralności pruskiej. Ale może takich nadużyć seksualnych dopuszczają się tylko arystokraci? Może być, ale jak wygląda moralność inteligenta berlińskiego, świadczy następująca satyra obrazkowa w „Simplicissimusie“. Poważny ojciec rodziny znajduje się w separacie domu publicznego i stoi nad łóżkiem, na którym leży pospolita, bo taryfowa rozdawczyni rozkoszy. „Podbasz mi się — powiada ów jegomość do dziewczyny. Jesteś podobna do mojej córki“. A podobnych, tylko drastyczniejszych satyr znajduje się w „Simplicissimusie“ mnóstwo. A satyra najzjadliwsza ma zawsze realne podłoże.

Wracam na bruk krakowski. Po świętach wielkanocnych pchamy znowu pracownicy taczkę żywota. Dla zwyczajnych śmiertelników tydzień obecny rozpoczął się nieszczególnie, bo ulewym deszczem i dojmującym zimnem, dla dra Bobrzyńskiego natomiast bardzo pomyślnie, bo nominacją na galicyjskiego namiestnika. Nie piszę o tem w kronice, pozostawiając osobę nowego namiestnika owemu współpracownikowi, który w „Nowościach Ilustrowanych“ dostarczył życiorysu do portretu dra Bobrzyńskiego. Inni kandydaci do pomieszkowania „pod kawkami“ we Lwowie mogą odgrywać rolę zapoznanych wielkości, a należy do nich pomiędzy innymi i Dawid Abrahamowicz, przebywający obecnie w Abbazji. Jak mi opowiadał przybyły co dopiero z Abbazji kolega, ekscelencya Abrahamowicz codziennie podczas przechadzki wychodzi na „moło“ i przypatruje się jak „baggier“ wydobywa nieustannie kamienie z dna morskiego. Może ta praca „baggiera“ podobną jest do pracy ekscelencyi Abrahamowicza? Dno morskie, oczyszczone jednego roku, trzeba oczyszczać na drugi i tak dalej, może bez końca, na wzór Syzyfa. Kamienie demokratyczne są ciężkie.

Wróciłem na bruk krakowski, a mówię o Abbazji. Po raz trzeci muszę w kronice stwierdzić, że nie możemy doczekać się wiosny. Psotnica zagłada do nas na chwilę i znika również szybko, jak się pojawiła. Pewien emeryt, pobierający już od 15 lat „panem bene merentium“, a z codziennych przechadzek znający planty tak dokładnie, jak administracja podatków kieszenie Krakowian, mówiąc o spóźnionej wiosnie, rzekł do mnie:

— Dopóki gawrony nie zaczną budować gniazd na drzewach koło teatru, wiosna nie przyjdzie. Ptaki mają znakomity instynkt.

Rzeczywiście tego roku jeszcze nie zaczęły gawrony zlatywać się na walny wiec koło teatru i później zaczęły budować gniazda, które pachol-kowie miejscy będą zrzucali. Tak się dzieje każdego roku, ale gawrony nic sobie z tego nie robią i z każdą wiosną podejmują tę samą pracę.

Do osobliwości na krakowskim bruku należą wózki dwukołowe, posiadające ogromny dyszel, służący do rzeczy zgoła niezwykłych. Na wózkach owych rozwożą pracownicy woźnice — czy jak ich nazwać — wcale znaczne ciężary. Ludzie wielce sympatyczni, ale mający ten dziwny zwyczaj, że wózki swoje pchają z tyłu, a dyszel buja luźnie, grożąc przechodniom przebieciem. Dzisiaj taki wózek pusty wjechał nagle i szybko z ulicy św. Tomasza w Szpitalną i ugodził w bok przechodnia, który na szczęście miał na sobie zimowy paltot. Jegomość był widocznie obcy, nie wiedział bowiem, że dyszle na prowincyi służą do czego innego niż w Krakowie, więc „wsiadł“ na woźnicę, grożąc mu nawet policją. Ale woźnica uczuł się widocznie pokrzywdzonym i nawzajem „wsiadł“ na przechodnia.

— Trzeba się było usunąć — wołał zapalczywie. Ja nie mam czasu patrzeć na dyszel.

— Nie potrzeba patrzeć na dyszel, tylko trzymać go w ręce — zareplikował przechodzień.

— Tak? — odparł ironicznie woźnica. To ja mam z tyłu pchać wózek, a z przodu trzymać dyszel. Taką sztukę umieją chyba w Skawinie.

Przechodzień zrezygnował z dalszej polemiki, widząc, że jest zupełnie bezowocną. Woźnica udał się w dalszą drogę i ku niemałej radości poszkodowanego przechodnia zawadził dyszlem o przejeżdżającą ulicą Floryańską tramwaj. Zderzenie się wywołało niemiłe dla woźnicy skutki. Tramwaj pomknął dalej, połowa utraconego dyszla wyleciała w powietrze na prawo, wózek runął na lewo, a woźnica padł plackiem w środku. Zanim się zjawił policyant, woźnica umknął z uszkodzonym wózkiem, a przechodzień musiał poprzestać na tem przypadkowym zadośćuczynieniu i na bolesnym szturkańcu.

h. j-e.

B. Gabryelska, Krzysztofory Kraków.
Wynajmuje i sprzedaje pierwszorzędných fabryk fortepiany, pianina, harmonie i pianole za gotówkę lub na spłaty nawet dwudziestomiesięczne bez zaliczki.

1-32

Zawody w piłce nożnej.

(Do ilustracji na str. 10).

Ruchliwa sekcja sportowa przy krajowym związku turystycznym w Krakowie, urządziła w minioną niedzielę zawody sportowe młodzieży na torze wyścigowym. Udział wzięły w tych zawodach dwie drużyny: lwowska „Pogoń“ i krakowska „Cracovia“, grupująca się właśnie około wspomnianej sekcji. Zawody obejmowały lekką atletykę i piłkę nożną, a wykazały niejako wielką sprawność wśród obu grup młodzieży, które ze sobą walczyły o lepsze, ale i ogromne, nadspodziewane zainteresowanie się wśród publiczności krakowskiej, zwłaszcza zaś wśród młodzieży. Zapełniły się trybuny wcale gęsto, zapełniły się inne miejsca, a miarą zainteresowania był nie tylko liczebny udział widzów, ale ich widoczne zapalenie się przebiegiem interesujących zapasów.

Rozpoczęto lekką atletyką: rzucanie oszczepem i dyskiem, oraz skok wzwyż o tyczce i skok w dal. Z wyjątkiem rzutu dyskiem, lwowiacy pobili krakowskich współzawodników, a najlepszym w trzech tych działach lekkiej atletyki okazał się p. Kamocki, którego precyzyjne skoki i podziwu godna zręczność w rzucaniu oszczepem zjednała mu szczere i gorące oklaski.

Nastąpił match w piłce nożnej. I tu okazało się, iż obie drużyny są równie silne, równie dobrze zgrane. W czasie półtoragodzinnej, zaciętej bardzo, chwilami nawet namiętnej walki, obie strony, z których każda liczyła po 11 uczestników — zrobiły po jednej „bramce“. Ostatecznie też match został nierozegrany. Dalszy jego ciąg zapowiedziany jest na 10 maja we Lwowie.

Za urządzenie tak pięknego popisu sportowego należy się pełne uznanie sekcji sportowej krakowskiego Związku turystycznego i jej organizatorowi, sekretarzowi Rosnerowi. Pomyślny wynik pierwszych w naszym mieście tego rodzaju zapasów, powinien sekcję zachęcić do dalszych starań i zabiegów na tem polu.